

Nazywam się Stefania Sach, córka Jana i Katarzyny, z domu Borowka. Urodziłam się w 1907 roku w Krakowie Stocinie. Ojciec mój był leśniczym. W 1920 roku ojciec otrzymał posesję leśniczego w Tarnopolu, dołączył wszyscy przenieśliśmy się. Miałam jeszcze 4 braci, ja byłam najmłodszą. W 1932 r. wyszedł za mąż do Woli Gołuchowskiej, która była kolonią odległą od Tarnopola o 12 km, za Michała Sach, który miał 22 morgi ziemi, dom, zabudowania. 21 sierpnia 1939r. urodziłam się nasz syn Jan.

1 września 1939r. wybuchła wojna. Po wybuchu wojny Ukraińcy napadali na nas Polaków. Mnie z matką dzieckiem w baciku wzięli pod ścianę domu dwóch Ukraińców, przystawili karabin do obojczyka po prawej stronie, bo na lewej trzymałam dziecko, przymknął go z płaszczem żeby mnie nie zabił, bo mam małe dziecko. On jednak strzelił, ale tylko skórę i kaseć obojczyka stracił, a ja się przewróciłam z dzieckiem od uderzenia strzału i strachu na ziemię. Byłam jak martwa, ogleądałam. Wtedy ten co stał dalej spytał czy już po wszystkim, odpowiedział, że tak i odeszli. Wtedy ojciec, który schronił się pod łózkę wyszedł, wziął dziecko, saniół do domu, a później mnie, gdyż nie byłam w stanie sama zejść. W dzień byliśmy w domu, a po nocach ukrywaliśmy się. Ja chowałam się w rzecce pod brzoścem, kładąc skulona w wodzie, karmiąc dziecko pierśią. Taki był grzeszny, że nie płakał, ani nawet nie kulił, jakby czuł, że nie może stracić naszej kryjówki.

W listopadzie 1939 r. Rosjanie zabrali mi męża, dołączył nie wiedziałam.

10 lutego 1940 r. rano o godz. 6.00 weszło do domu 2 cywilów i 1 żołnierz /cywilni byli Ukraińcy/i powiedzieli, że do godziny mamy być gotowi. Ukraińcy stali w drzwiach i pilnowali, aby nie nie brać oprócz ubrania, a żołnierz powiedział, że mam wziąć poduszki, pierzyny, dla dziecka łóżeczko, bo też w domu miał małe dziecko /był Finlandczykiem/. Do jedzenia nie pozwolili nic wziąć, a żołnierz miał w swojej torbie jedzenia, wyjął żeby dać "Iwanowi", to znaczy że żebym sama zjadła, a dziecko żeby miało co snuć. Jak powiązaliśmy w tobozki, poszli Ukraińcy do stajni, wzięli moje konie i sanie, rozścielili słomy i kazali nam wychodzić. Mieliśmy na łańcuchach dwa psy, które głośno wyły.

Rodnice byli przy mnie od czasu kiedy zabrali mi męża i teraz razem nas zabierali. Ukraińcy krzyვეli, że konie dobrego bycia. Żołnierz wynosił wszystko na sanie. Rodnice byli jak skardieniali, nie mogli nawet mówić. Miałam dziecko na rękach. Ruszyliśmy na stację kolejową w Kopyśkach, chociaż stacja była w Woli Gołuchowskiej, ale tam już było dużo ludzi na stacji.

Zaparkowali nas do wagonu, a Ukraińcy wzięli konie i odjeżdżali od pociągu, a konie odwracały do nas głowy, bo ich wychowywały.

Wagony miały półki, na których mogliśmy się położyć. Na środku wagonu był żelazny piecyk zimny, nie było czym zapalić. W kącie wagonu można było się zakatwić.

Na stacji byliśmy od niedzieli do czwartku o godzinie, tylko jedna Ukraińska, która u mnie pracowała, bardzo płakała i przyniosła mi jedzenie, upieczoną przez siebie bułkę, którą miałam na 5 dni i mleko.

Pociąg był zamknięty, pilnował wagonów konwojent Rosjanin i puszczak



nas tylko rano po wodę, po jednym kąpcyźnie z wagonu, który też przynosił kawałek drewna, aby można było zapalić w piszczyku i wypić gorącej wody.

Nie wielkimiśmy gdzie nas powiozą, do Rosji czy do Niemiec.

Pociąg składał się z 32 wagonów, przy których było 3 lokomotywy. W czwartek o godzinie 8 rano zapakali, aby był spokój i ruszyliśmy w kierunku wschodnim. Na granicy z 1939 r. przetoczyli nasze wagony na tory rosyjskie, bo były szersze i pojechaliśmy. Jechaliśmy przez 7 tygodni. Po 4 tygodniach, na stacji Cicharecko, pozwolili nam wyjść z wagonu, ale nie nikt nie widział, bo oczy nie były w stanie patrzeć, byliśmy odlepieni, od razu z ciemności wyszliśmy na dzień.

W czasie podróży otrzymywaliśmy mały bocheneczek chleba na nas troje. Gotowaliśmy wodę i popijaliśmy chleb. Jechaliśmy bez przerwy dzień i noc. Gdy w końcu pociąg się zatrzymał na stacji Morasym, kazali nam wyjść na plac i każdy siedział przy swojej łupce. Witający odwiadczyli nam, że jesteśmy na Syberii, ale jeszcze będziecie jechać a jechać. Kąpcyźni zostali pilnować każdy swoich rzeczy, a nas kobiety z dziećmi skierowali do dużego baraku z drzewa utkanego sznurem, wewnątrz wysypanego trocinami, aby nam było w nogi ciepło. Dziecko mi zachorowało. Była tam lekarzka Rosjanka i powiedziała, że ta wysypka jest z ciągłego ubrania i nie kąpania w czasie podróży. Dala mi maszynę. Była, które mi dał Finlandczyk, trzymał tylko dla dziecka.

Pieluski przelał w dżbanku, który dostałam z mlekiem od Ukrainki w Woli Ochuchowskiej, a smazyliśmy na pierśniach ja, ojciec i moja mama. Tam byliśmy przez 5 dni, a następnie dużymi wozami wywozili nas w lasy przez dalsze 3 tygodnie. W czasie jazdy, co pewien czas samochody zatrzymywały się przy baraku, gdzie można było wypić gorącej wody, przetrząść dziecko i zjeść chleb.

Po trzech tygodniach sajechaliśmy na niemieca. Był to uciszek Kuzjol. Dali nam barak, gdzie było nas 40 osób. Były łazienka, kuchnia do gotowania i stare łechy, pełne płuczkiew. Na jednym łóżku spaliliśmy wszystkie rasem. Chociaż miałam kószeczko, brałam dziecko do siebie, aby mi było ciepłej.

Saraz nas wyłaził do lasu rąbać drewno na budulec, które wysyłano wodą na tratwach. Chodziliśmy codziennie po 7 - 8 km do lasu, pośniegu, który był głęboki na metr, a mroź był 45 - 60°C. Nogi mi przesmarowały do kości, bo miałam buty z Polski, a potem dostałam od przezielenia wrzodów na nogach, dostałam walonki i tak chodziło przez 12 godzin co dnia. Nie było święta, ani dnia wolnego. Jeden dzień był wolny na 8 marca, ale polegał na tym, że nie szliśmy do lasu, ale robiliśmy porządek koło baraku. Dostaliśmy z okazji tego święta strucelka, ale nie zjadłam go ani ja, ani moja mama, tylko dziecko.

Na Boże Narodzenie byliśmy w lesie i wszystkie kobiety płakały. W wigilię przyszedłam z pracy o 5 minut przed 19-tą - pracowałam od godziny 5 rano. Przechodziłam koło baraku, w którym byli najster i kierownik. Zobaczyli mnie, napisali i podali na sąd. Przejechała sądzina w nasz Nowy Rok i mój najster o godzinie 24-tej przyszedł po mnie, abym się stawiała na sąd. Saraz z nim poszedł. Przeszedłam do tego baraku, gdzie była sądzina, kobieta gruba, w ubraniu z Polski i pyta się mnie od razu, czy tam. Dajcie Stefania? Odpowiedziałam, że tak, a ona mnie pyta, dlaczego ja przyszedłam 24 grudnia wcześniej z pracy o 5 minut. Odpowiedziałam, że to jest wigilia Bożego Narodzenia i ja nie wiedziałam,



że za to będą sądzone, to ona odpowiedziała, że dostaną 3 miesiące kary - ten więzienia, w którym była na podłodze woda. Powiedziała jej tak - dobrze dziecko zabieram ze sobą, bo karmić pierwszą i matką otarazką, bo ojciec zmarł w pierwszym roku jak przyjechalibyśmy / 4 sierpnia/, pochowałam go pod sosną w pałacu.

Kierownik, który mnie podał na sąd, to wtenczas ratował mówiąc. Proszę wysokiego sądu, nie dać jej więzienia, bo ona dobra robotnica, bo ja Polaków choć nauczyły rozumu, aby byli punktualni i zaproponował, żeby obniżyć przydział chleba. Dostawałam 500 g chleba, dziecko 100 g i matka 100 g, bo nie pracująca.

Sąd uwzględnił wniosek kierownika i przez 6 miesięcy otrzymywałam o 200 g chleba mniej. Dostawałam tylko 300 g. Tak dla 3 osób mieliśmy 500 g chleba na dzień i trochę masy dla mnie, ale dzieliliśmy to na 3 osoby. Do chleba dodawałam trochę spod piły i z tej mieszaniny robiłam placki.

Syn zachorował na tyferyt. Odwieźli mnie z nim do szpitala odległego o 40 km. Matka została sama. Ja byłam w szpitalu 40 dni sama z dzieckiem. Przychodził do mnie tylko lekarz i ta co przynosiła jedzenie. Nie i nikogo nie widziałam, bo ciama były zamurami te. Cały tydzień składałam ziemniaki, chleb i placki do torby, jak była kaczka gęsta to też składałam i raz w tygodniu przychodził komendant z mojego uczestnika pytał się o mnie, jak mojemu dziecku i przez uchylone drzwi pytał się mnie jak dziecko i ja żyję i czy jest jedzenie. Ja go pytałam co z matką, a on mi odpowiadał - nie płacz i nie martw się, bo my tujój matce dajemy masę tą co ty dostawałaś i 200 g chleba, dlatego, że starych ludzi zabijemy. Prosiłam go żeby wziął dla mamy woreczek, w którym miałam odłożone ziemniaki, chleb i masę. Wziął on i zanosił matce.

Po 40 dniach przyjechałam z dzieckiem do uczestnika. Matka jak zobaczyła wnuczka to upadła na kolana i witała swojego najdroższego. Mówiła, że jak umrze, to żeby pochować ją koło męża pod sosną.

Do wszystkich więzień wysyłałam zapytanie - poszukiwanie męża. Otrzymałam zawiadomienie, że mąż zmarł i żeby w biurze wziąć 20 rubli dla dziecka. Ale ja ich nie wzięłam, bo nie wiedziałam, że mąż nie żyje. Było to w grudniu, ja przychodzę z pracy, a w baraku siedzi mąż, opuchnięty cały, niepodobny do siebie. Zaraz poszedł do szpitala i był tam do marca. Zmarł w szpitalu w Wielki Piątek.

Nie miałam go za co pochować. Miałam brzytwę kupioną w Brzeżanach, którą trzymałam w rękawie chodząc po ulicy. Spotykałam 2 geologów, którzy mnie zapytali dlaczego płaczę. Powiedziałałam, że nie mam na trumnę dla męża. Wzięli ode mnie brzytwę i zapłacili obaj do 20 rubli, bo nam za pracę płacili tak mało, że wystarczyło na chleb. Wzruszyli się, że potracają nam za podróż / 7 tygodni / co nas wieźli na Sybir i że nas w czasie podróży karmili chlebem i wodą.

Pewnego razu przyjechali do Sytykara dwaj panowie i Wanda Wasilewka. Przywieźli żywność dla nas i przywieźli na nasz uczestek. Jednym z tych panów był mój brat, który był pilotem Adam Borowski. Przywieźli nam beczkę masy grochowej, mięso w proszku i konserwy rybne. Dzielił się tym wszyscy Polacy i Rosjanie. Brat przywiózł nam też odzież - swetry i koce. Spotkanie brata ze mną i z matką było bardzo smutne. Poznał się wszyscy.

Po 6 miesiącach od wizyty, część Polaków, w której i ja byłam

zabrali na Kaukaz, a innych w inne strony do kolchozów. Jechaliśmy okrątem rzeką. Szczała 3 tygodnie do Kotkasa. Z Kotkasa wysadzili nas na brzeg i czekaliśmy na pociąg. Pociągami jechaliśmy 6 tygodni bez przerwy o suchym jedzeniu do Krasnodarskiego kraju i tam nas wysadzili. Staliśmy dobrą i nas rozdzielali. Kto był starszy, bez małych dzieci, to zabierali ich do kolchozu, bo było to w maju, a mnie z dzieckiem i starszą mamą, przydzielili na taką część kolchozu, gdzie były uprawiane jarzyny, winogrona, miód i owoce. Tam byliśmy prawie rok.

W 1946 r. w marcu jechaliśmy do rejonu /powiatu/ wyrabiać dokumenty na wyjazd do Polski /wizy/.

Wyjechaliśmy w marcu i następnie 7 tygodni jechaliśmy przez Leningrad, o swoim wyżywieniu. Jak pociąg stanął i maszynista powiedział, że będziemy stać 2 godziny, rozpalamy ognisko przy pociągu i na wodzie rozgotowaliśmy ukusę i to była nasza zupa. Czasami nie miałem się przygotować, braliśmy jak było i jedliśmy, bo pociąg odjeżdżał.

Wracając wspomnienia do Rosji - to do parochodu szłam z mamą, a dziecko niesłam na rękach z przywiązanyimi nogami, a ręce miał na mojej szyi /nie miał butów/ przez 30 dni. Liniom takie pchały na nogach, że na parochód wnosili mnie koszenie na rękach, gdyż mogłam tylko oprzeć się na piętach, gdzie nie było pchały.

Na uczestnika jak przyjechaliśmy do Krasnodaru, przez 6 tygodni nie byliśmy w stanie pracować, bo było bardzo gorąco i my po Syberii zdiełaliśmy. Dawali nam codziennie supy kaloryzowanej na mleku. Tam dużo ludzi chorowało na malarię. Dostawali zastrzyki. Ja i mama chorowaliśmy na malarię, tylko dziecko nie chorowało. Dużo chorych na malarię umierało. Chowali bez truszenia, wracając do domu owiniętych w przedcieradło i tak zasypywali. Modliłam się bardzo do Matki Boskiej Częstochowskiej o ocalenie i zostałam wysłuchana.

Bardzo się bałam, żeby moja matka nie musiała wrócić do domu bez truszenia. Obiecałam, że na kolanach będę szła do kościoła.

Jak jechaliśmy do Polski, przejeżdżaliśmy przez Opole i tam udaliśmy się do kościoła do spowiedzi świętej za okres 7 lat.

Osiadliśmy w Tarnowskich Górach i pracowaliśmy w gospodarstwie PGB, gdzie mogłam się najęść do syta. Tu dostawałam ubranie, pierzynę. Potem przeniosłam się na teren Bystrzycy Kłodzkiej, gdzie również pracowałam w gospodarstwie PGB, do czasu przejścia na emeryturę.

Do  
P  
L